

A futuristic city street at sunset. A man in a dark coat and a blue helmet is talking on a mobile phone. The scene is filled with tall, modern buildings and a warm, golden light from the setting sun. The man is walking away from the camera, and the street is lined with various architectural structures. The overall atmosphere is one of a high-tech, urban environment.

Konrad Kaldyński

POŚLANIEC

Konrad Kaldyński

POŚLANIEC

© Copyright by Konrad Kaldyński & e-bookowo

Korekta: Marta Bluszcz

Projekt okładki: Halyna Ustymchuk + AI

ISBN e-book: 978-83-8166-371-7

ISBN druk: 978-83-8166-372-4

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2023

ROZDZIAŁ 1.

JESZCZE NA TAMTYM ŚWIECIE

Tritown na Limei.

Paskudne miasto.

Patrząc na to upadłe miejsce, miało się wrażenie, jakby w ogóle nie dotknęła go wojna, bo prawda była taka, że już przed nią wyglądało jak gównno.

Jebany syf.

Delektując się ciepłym wiatrem płynącym delikatnie pomiędzy podniszczonymi budynkami, który smagał moją dopiero co ogoloną do zera głowę, zastanawiałem się nad swoim natężającym się euforycznym nastrojem. Specyfiki, które kilka minut temu wbiłem w płuca, zaczynały działać.

Zdecydowanie.

Szybkie myśli. Brak związku. Brak połączeń. Tak.

Brak.

...Lina wytrzyma?

...Ale Holloway i Lind... Pewnie!

...Nie byłem tam od wieków...

...Nic z tych rzeczy... Stos... Wszystko odejdzie...

...Amunicji już nie ma... Ten człowiek się wykrwawia!

...Klasyczny colt, standardowe naboje, składana kolba...

Zdecydowanie.

Stare, zdezelowane auta o przestarzałym napędzie spalinowym z bandami młodocianych w środku podjeżdżały pod lokal znajdujący się w piwnicy budynku, przed którym właśnie stałem. Wszyscy prawie identyczni, nie wyróżniali się niczym konkretnym. Jedynie detale miały tu znaczenie, a i tak każdy z nich wyglądał jak nieletni pseudogangster albo pomniejszy chuligan, którego szczytem marzeń była posada

mafijnego bossa. Niekończąca się, mająca tutaj swoje miejsce od zawsze lokalna wojna gangów obróciła miasto w totalną ruinę. Potłuczone okna, ostrzelane ściany, wyrwy w murach i ogólnopojęty brud uliczny definiowały wygląd całego miasta. Jedynie centrum wyglądało względnie dobrze, a i tak odbiegało od standardów narzuconych przez inne miejscowości, gdzie funkcjonująca normalnie policja i administracja robiły to, co do nich zwykle należało.

Kilkanaście metrów dalej, w grupce kolejnych osób podchodzących pod lokal spięcia pomiędzy dwoma samcami alfa przerodziły się w przepychanki. Pierwszy cios, który padł dwie sekundy później, zainteresował ochronę. Zainterweniowali, a ja zdecydowałem się nieco stąd oddalić. Nie potrzebowałem kłopotów. Nie w miejscu, gdzie nie powinno mnie w ogóle być.

Choć to wszystko mogło być urojeniami, halucynacją spowodowaną w moim umyśle przez dragi.

Odbiłem się od ściany i przeszedłem trochę dalej. Oparłem się o zimną barierkę oddzielającą chodnik od szerokiej jezdni, a moją uwagę przykuły walające się pod nogami przechodniów strzykawki. Zacząłem sobie wyobrażać klasyczny sposób szprycowania się wprost w żyłę, gdy nagle one, te strzykawki, zrobiły się czerwone, a potem niebieskie. Falowały w fiolecie. Co, do cholery?

Ach tak. Narkotyki.

To moje strzykawki? NIE! Przecież też brałeś, Harrison! Ale kiedy? Tam na dole? Może. Któż to wie. Też nie wiedziałem, co brałem. I z kim. Cholera! Co z moją pamięcią? Pamięć? To chyba w mózgu...

Kolejne, tym razem dziwniejsze pytania i takie same odpowiedzi pływały po mojej głowie w tę i we w tę, gdy z zejścia do piwnicy wyłonił się Robb Drevinsky z nietęgą, pobladłą

miną. Miał na sobie okulary z przyciemnionymi szklami, mimo że był środek nocy. Nosił je z pewnego powodu.

– Miałeś czekać przy stoliku. – Wyrzut w jego słowach był połączony ze złością.

– Było mi zimno.

– Wyszedłeś na zewnątrz, bo było ci zimno, tak?

– Tak. – Uśmiechnąłem się.

Uśmiezek przerodził się w ułamku sekundy w niepoahamowany śmiech. Rżałem na całe gardło i – nie mogąc tego opanować – zgiąłem się w pół.

Po chwili Robb, zmęczony moim zachowaniem, chwycił mnie za kark i gwałtownie pociągnął do góry, bym się wyprostował. Chcąc zrobić mu na złość, stanąłem na baczność jak na rozkaz dowódcy.

– Nie dość, że się urżnąłeś prawie w trupa, to jeszcze się naćpałeś. Zapomniałeś, że jesteśmy w pracy?

– Przecież sam mi kazałeś, panie generale! – Zrobiłem zamysłoną, pełną powagi minę. Robb lekko poklepał mnie po twarzy. – No co?

– Miałeś być towarzyski. Obudź się, weź dwa głębokie wdechy i schodzimy tam dokończyć robotę. Musimy mieć dzisiaj te informacje, rozumiesz? Inaczej będziemy za bardzo w tyle, a nie możemy sobie pozwolić na kolejne opóźnienia.

– Ta, nic więcej nie mów. Sam się tym zajmę, a ty idź posmęcić komuś innemu.

– Kurwa, stary. – Widziałem jak zaciska pięść. – Idziemy tam i robimy swoje. Siedź cicho i nie zrób niczego głupiego. Ja załatwię resztę.

Potrząsnąłem głową gwałtownie na lewo i prawo, aby dać się przebić tym racjonalnym, trzeźwym myślom. Może w pewnym stopniu się udało, bo przebłyśki normalności podpowiedziały mi, co powinienem zrobić.

– Masz rację. Prowadź – powiedziałem i poczułem, jak drętwieją mi palce u prawej dłoni. Rozprostowałem ją energicznie.

Robb postął przede mną jeszcze kilka sekund bez słowa. Obrócił się na pięcie i skierował w stronę zejścia do piwnicy, po drodze przebijając się przez niewielki tłum widzianych przeze mnie wcześniej nastolatków, rozdzielanych przez goryli z techno baletu. Wyglądało na to, że inni też próbowali włączyć się do bójki.

Na dole przeszliśmy przez parkiet, gdzie głośne, gitarowe, ciężkie brzmienia połączone z elektronicznymi, nowoczesnymi dźwiękami wprawiały całe towarzystwo w dziki taniec. Naćpany tak samo jak ja niewielki tłum umiał się bawić. Wili się w tańcu, dobierali w pary lub trójki i obmacywali, podnieceni narkotykami i kusymi strojami. Dłuższą chwilę mijaliśmy ludzi znajdujących uciechę w wygibasach na środku sali tanecznej i gdy w końcu udało się nam przez nich przebić, Robb poprowadził mnie do najbardziej oddalonej łoży. Obszerne, skórzane sofy układały się łukiem w półokrąg, a pośrodku stał stolik o eliptycznej formie podświetlanej od strony podłogi. Cztery miejsca były już co prawda zajęte przez faceta wyglądającego jak lokalny, trochę podstarzały gangster z irokezem na głowie i jego, jak przypuszczałem, ochroniarza oraz dwie młode dziewczyny, których z powodzeniem mógłbym poszukać w tygodniku dla panów. Irokez, tak go zapamiętam. I stolik.

Stolik. Czy to nie tutaj miałem czekać na Robba? Ale wyszedłem. Bo było mi kurewsko zimno.

Stolik...

– Nie stój tak, tylko siadaj! – wrzasnął Robb.

Bez spojrzenia na niego zdałem sobie sprawę, że sterczałem jak słup zawieszony w zamyśleniu. Narkotyki weszły

zbyt mocno i czułem, że nie jest ze mną zbyt dobrze. Rozkojarzenie, zaburzona orientacja i dziwne myśli. W razie jakiejś draki, w takim stanie poległbym jako pierwszy. Ale co oznacza śmierć? To pewnie tylko reset do ustawień fabrycznych, nic więcej. Nie boję się śmierci. Tak jak stolika!

Poczucie, jakbym był duchem. Albo duszą JESZCZE NA TAMTYM ŚWIECIE.

Weź się w garść, Harrison!

Opadłem na sofę w okolicach przepięknych dziewczyn. Robb siedział na drugim krańcu i wymieniał dyskretnie informacje z gangsterami. Pochyliłem się ponad blatem stołu i przysлуchałem ich rozmowie. Irokez i jego kompan wyglądali nieco nerwowo. Gestykulowali.

– Wiesz, dla kogo pracujemy. I wiesz, jak się to może skończyć w dłuższej perspektywie. Tylko i wyłącznie na prośbę twoich szefów armia Sojuszu Ziemijskiego jeszcze nie weszła do miasta – powiedział Robb spokojnym tonem.

Irokez pogładził się po krótkiej części fryzury, a światła dobiegające z głośnego parkietu odbijały się błękitem od kolczyków w jego uszach i brwiach.

– Przecież wam pomagamy. Dostajecie od nas informacje o lokalizacjach rebelianckich kryjówek w mieście. Zrozum mnie, chciałem ci pomóc, ale nie mogę – odparł.

– Ależ możesz, tylko musisz naprawdę chcieć. Po prostu powiedz mi, gdzie mamy szukać człowieka, który ich przewiózł. Tyle wystarczy, resztę ogarniemy sami.

– Kurwa, nie wiem. Narażam się.

– Rozumiem cię, ale musimy to wiedzieć. Inaczej...

– Chcesz zapomnieć o smutkach, kotku? – zagadnęła mnie jedna z dziewczyn.

Obróciłem głowę w jej stronę. Trzymała wyciągnięty w moją stronę palec zakończony długim, czerwonym

paznokciem. Na jego końcu dostrzegłem mieniący się, niebieskawy proszek.

Co mi tam, niech Robb załatwia resztę!

Odchyliłem się od rozmawiającego towarzystwa i pozwoliłem jej przytknąć palec do mojego nosa. Wciągnąłem specyfik głośno, oddychając po tym głęboko przez nos, zwany inaczej narzędziem uciechy. Jakie to było dobre. Palec, paznokieć, proszek. Wszystko na „P”. I dziewczyna. Nie, to się nie nadaje. A może „prostyutka”? Pasowało pewnie do niej bardziej niż „porządna”.

O kurwa, jakie to jest dobre!

Adrenalina, a za chwilę zmęczenie i ospałość. Drink. Jeden, drugi i trzeci. Trzy szoty tak samo szybkie i mocne. I kolejna dziewczyna. Piękna jak ta, którą kiedyś miałem. Młoda, wyglądająca jak z okładki magazynu modowego. Mareena. Kiedyś była moja...

– Co jest? Posmutniałeś strasznie! – powiedziała kobieta na tyle infantylnym tonem, by mnie to lekko zauroczyło. – Chcesz jeszcze?

Ile czasu minęło?

Podniosła z klejącego się od rozlanego alkoholu stolika foliową saszetkę z kolejną porcją proszku. Chwyliła mnie za dłoń i nasypała na nadgarstek, a potem wciągnęła wszystko za jednym razem. Wysypała po raz kolejny i zawołała koleżankę, która, wypinając się, przerzuciła ciało przez kolana towarzyski i także zażyła narkotyk. Chwyliła potem dozer elektroniczny i poraziła się w szyję. Obydwie zachichotały.

Dozer...

Elektryczny...

– Teraz ty! – Przekrzykując muzykę, sypnęła sobie na palec z wytatuowanym słowem „FUN”.

Przytknęła mi go ponownie pod nos. Wciągnąłem.

I kolejny szot. A może dwa? Nie pamiętam, do cholery!
Umieram.

Gdzie ja jestem? Chcę jeszcze! Prąd. Wspomnienia z obozu jenieckiego i siedzący obok mnie Jonathan...

– Graystone! Co ty tu robisz? Przecież nie żyjesz?
Powiedziałem to na głos? Nie...

A może tak? Sam nie wiem.

– Jak się bawisz, kotku? – Usłyszałem głos jednej z dziewczyn po mojej lewej. Kolejna wyrwa w pamięci. Graystone po mojej prawej zniknął. Robb dalej nawijał coś z Irokezem i jego kumplem, Stolikiem.

– Wspaniale – odparłem, będąc w błogim stanie i rozłożyłem się na kanapie. Sufit nieprzewidywalnie wirował we wszystkie strony.

ROZDZIAŁ 2. NIEODBEZPIECZONA

Szum... dźwięk stalowych kół przesuających się po tak samo stalowych szynach.

Klik-klak.

Bardzo rzadko mi się to zdarzało.

Klik-klak.

Przez specyfikę mojej pracy – prawie w ogóle. Byłem żołnierzem. Byłem dowódcą. Zawsze gotowym. To był pierwszy raz od dawna, gdy doprowadziłem się do takiego stanu.

Klik-klak.

Przeskok pomiędzy segmentami torów kolejowych. Cichy świst powietrza rozdzieranego przez pędzący z zawrotną prędkością pociąg. Suchość w gardle...

Tyle udało mi się poczuć przez zamknięte oczy. Powolnie zebrałem swoje myśli. Podniosłem powieki i poczułem pulsowanie oczodołów. Głowę rozsadzał mi niemiłosierny ból połączony z uczuciem, jakby mózg wydostawał mi się w rozpacz przez uszy. Kurewsko mocny kac, i to jeden z tych potężniejszych wariantów.

Siedziałem przy oknie w obskurnym, wyglądającym jak chlew i ciasnym przedziale. Stara farba odchodziła płatami z przesuwanych drzwi, krusząc się na brudną, niesprzątaną od wieków podłogę. Wraz ze mną znajdowała się tutaj siedząca naprzeciwko kobieta z mechanicznym ramieniem, zaczynającym się w okolicach łokcia, i grubszy facet, który zaczytał się w czymś na sufitowym ekranie pomiędzy naszymi głowami. Brudne, poźółkłe ściany wykonane z plastiku oddziaływały nas od reszty jadących ludzi, a słabe światło dawało choć trochę odpocząć moim zmęczonym, obolałym oczom.

Gdzie ja, do cholery, jestem? Jak się tu znalazłem? I dokąd jedzie ten pociąg?

Pytania instynktownie przewaliły się przez myśli, ale nie miałem teraz na to siły. Odgoniłem to od siebie i wlepiłem wzrok za okno. Na zewnątrz lało, a burzowe, ciemne chmury rozchodziły się aż po horyzont i w oddali dźgały grunt potężnymi błyskawicami. Przemierzaliśmy jakieś mniej zurbanizowane tereny i nie znajdowało się tutaj nic, poza trawiastymi równinami i kilkoma niewielkimi pagórkami. W zamyśleniu zapatrzyłem się na krople deszczu sunące po zewnętrznej stronie szyby, pędzące w wyścigu o to, która z nich jako pierwsza dotknie krawędzi. Zlepiały się po drodze w większe formacje, zbaczając – to w górę, to w dół – z obranego wcześniej kursu. Zahipnotyzowały mnie swoim spokojem. Udało mi się na kolejny moment przysnąć.

Z płytkiego snu zbudziło mnie uczucie nadchodzącej rewolucji żołądkowej. Wyprostowałem się w niewygodnym fotelu i przyciągnąłem kolana do torsu, wkładając je pomiędzy ramiona, jakby miało mi to w jakiś nieokreślony bliżej sposób pomóc. Wnętrznosci zaczęły wirować przy akompaniamencie dobiegającego z głośników komunikatu w nieznanym mi dialekcie. Żołądek podchodził mi do gardła dokładnie tak samo, jak pociąg zbliżał się nieubłagane do kolejnej stacji, co można było poznać po delikatnym, stopniowym hamowaniu i zabudowaniach przemijających za oknem.

Ślinotok. Nie możesz tego zrobić tutaj. Nie w przedziale. Nie przy ludziach, nieważne, że ich nie znasz. Powtarzałem sobie to w głowie jak mantrę. Podniosłem się, przełknąłem głośno ślinę i zerwałem do wyjścia. Drzwi z sykiem otworzyły się, wypuszczając mnie na tak samo zniszczony i zaniedbany korytarz. Poszukałem symboli oznaczających toaletę i zgodnie z nimi udałem się ku końcowi wagonu. Po kilku

krokach dotarłem pod wąskie drzwi i szarpnąłem gwałtownie za klasyczną klamkę.

Zamknięte. Cholera, i co teraz?

Miałem coraz więcej śliny w ustach, a każde jej przełknięcie było jak przyspieszanie swojego własnego wyroku. Pociąg zatrzymał się i drzwi wyjściowe stanęły przede mną otworem, więc – niewiele myśląc i najszybciej jak się dało – wyskoczyłem na peron. Buty odbiły się od jego betonowej powierzchni ze stukotem. Kilka metrów szybkiego, nerwowego marszu po deszczu i znalazłem się w poczekalni. Szybki rzut oka po wnętrzu. Drzwi po lewej. Wszedłem do toalety i od razu skierowałem się do wolnej kabiny. Padłem na kolana.

Pierwszy żołądkowy wyrzut rozbryzgnął się o muszlę, brudząc jej krawędzie i deskę. Odbijając się od niej, wypadł na poszarzałe kafelki. Drugi był już o wiele celniejszy i wpadł prosto w wodę stojącą na dnie sedesu. Odbiło mi się soczyście alkoholem i resztkami wczorajszego jedzenia.

Co za ulga.

Wyplułem jeszcze kilka razy mieszanek śliny i rzygowin z ust. Posmak kwasu żołądkowego zdominował moje kubki smakowe, ale rosnące uczucie kaca i odwodnienia z nim związanego oderwało moją uwagę od tego. Podniosłem się z kolan i zauważyłem, że brązowy, wykonany z wełny, długi płaszcz, który miałem na sobie, również oberwał wymiocinami. Poprawiłem go nieznacznie i wyszedłem z kabiny z zamiarem obmycia i jego, i twarzy w umywalce.

Całkiem mocny cios metalowym przedmiotem spadł na moją i tak obolałą i pulsującą czaszkę, a towarzyszył mu głuchy zgrzyt. Zatoczyłem się lekko i odruchowo dotknąłem uderzonego miejsca. Drugą ręką oparłem się o kolano. Domyśliłem się, że mam kłopoty. W pośpiechu sięgnąłem do broni

trzymanej w skórzanej kaburze podwieszanej pod pachą, ale nic tam nie znalazłem. Nie było jej tam. Co, do...

– Tego szukasz, Miner?

Moje imię. Tak się nazywam.

Podniosłem wzrok. Naprzeciwko mnie stała kobieta z pociągu, ta z mechaniczną ręką, trzymając w niej wycelowaną we mnie moją własną omegę. Prawdopodobnie zabrała mi ją, gdy przysnąłem. Gratulacje, Harrison. Teraz znalazłeś się w małym potrzasku.

Wyprostowałem się, krzywiąc twarz.

– Zabolało, co? – zapytała z uśmiechem na twarzy. Podeszła bliżej, przytykając lufę do mojego czoła i lekko je trąciła.

– Teraz mamy okazję, by pogadać w cztery oczy.

– Może najpierw jakaś kawa albo drink?

Westchnęła.

– Nie mam zbyt dużo czasu, a ty masz go jeszcze mniej...

Przestałem zwracać uwagę na to, co mówiła i skupiłem się na opracowaniu jakiegokolwiek planu wyjścia z tej sytuacji. Miałem kaca, oberwałem i tyle co zwymiotowałem zawartość żołądka, zatem nie było to najłatwiejsze zadanie. Najtrudniejsze w tym wszystkim było naprowadzenie myśli na właściwy tor. Zebrałem się w sobie i – udając, że ocieram oczy – rozejrzałem się. Pusta łazienka kolejowej poczekalni. Trzy kabiny, tyle samo umywalk po przeciwnej stronie, a nad nimi długie, rozciągające się na całą szerokość ściany lustro, a w nim nasze odbicie. Ja, stojący naprzeciwko niej, a pomiędzy nami nieodbezpieczona omega. Tak, NIEODBEZPIECZONA. W normalnych okolicznościach, nawet bez kaca, nie miałbym szans w starciu z jej mechanicznym ramieniem. Widziałem już takie zabawki w akcji i zazwyczaj okazywały się tak szybkie, że nie było nawet mowy o próbie rozbrojenia lub uniku. Ale teraz, gdy wiedziałem, że naciśnięcie spustu nic jej nie da...

Uskok w lewo.

Pociągnęła za spust i nic się nie stało, poza jedynie charakterystycznym kliknięciem, które wydaje z siebie broń za każdym razem, gdy ktoś próbuje z niej strzelać przy włączonym zabezpieczeniu. Lewą dłonią chwyciłem jej zimny nadgarstek, a prawą wyprowadziłem cios podbródkowy, który był na tyle silny, by jej błędnik oszalał. Usłyszałem, jak zęby kobiety uderzają o siebie przy spotkaniu z moją pięścią i – korzystając z przewagi – wyrwałem pistolet z jej ręki. Było to, o dziwo, całkiem proste. Wycelowałem, odbezpieczyłem szybkim ruchem kciuka i czekałem.

– To co mówiłaś? – zapytałem ironicznym tonem. Spojrzała na mnie z pogardą.

W żadnym scenariuszu, który przewalkowałem na szybko w głowie, nie spodziewałem się tego, że ruszy na mnie pełną szarżą. Odepchnęła się od podłogi i wyskoczyła na mnie z całą prędkością. Broń była już wycelowana i gotowa.

Bam.

Wystrzał odbił się echem od zielonkawych ścian. Głowa zapulsowała mocniej. Kula przebiła jej ciało i utknęła w ścianie po prawej stronie drzwi, ona natomiast – z dziurą w piersi – padła bezwładnie metr ode mnie, twarzą w dół. Jeden celny strzał zrobił z niej nieboszczyka. A dopiero co próbowała wydusić ze mnie informacje o... No właśnie, o czym? Czego ona mogła chcieć? Kim była? I co to za miejsce? W dalszym ciągu nie wiedziałem nic o tym, co tutaj robię, a ilość pytań ciągle rosła.

Nie teraz. To nie czas na szukanie odpowiedzi.

Zgodnie z tym, co przewidziałem, nie była sama. Koleś jadący z nami w przedziale był jej współnikiem i właśnie przecoczył swoje cielsko przez drzwi do łazienki. Był w lekkim szoku, gdy zobaczył trupa swojej koleżanki i mnie stojącego

nad nią. Wycelowałem w niego. Obserwowałem uważnie każdy jego ruch, nawet najmniejsze napięcie mięśni twarzy, każde drgnięcie palca. Pot zaczął pojawiać się na jego czole. Zrobił się czerwony. Lekko poruszyła się jego prawa dłoń. Dobrze wiedziałem, co chce zrobić.

– Nie radzę.

Nie posłuchał.

Szarpnął za marynarkę, próbując złapać swój pistolet. Kolejny strzał rozdarł wnętrze, echem docierając do moich bębenków usznych, ściskając je swoją mocą. Koleś padł obok swojej towarzyszkii, a ja po raz kolejny złapałem się za pulsującą głowę. Odchyliłem wełniany płaszcz i schowałem omegę do kabury po pachę. Odwróciłem się w stronę umywalki. Odkręciłem kran i obmyłem twarz dwoma szybkimi chluśnięciami wody. Wyczyściłem także ubranie z wymiocin i zanim zakręciłem strumień, zaczerpnąłem jeszcze z niego trzy duże łyki. Czas się zabrać do roboty.

Chwyciłem najpierw ciało faceta i przeciągnąłem je do ostatniej kabiny. Przeszukałem kieszenie, wyjąłem portfel i położyłem na plastodrewnianym blacie obok. Martwą kobietę również obmacałem i – wyjąwszy z jej kieszeni niewielką saszetkę z dokumentami – ułożyłem na ciele mężczyzny, starając się, by jej nogi nie były bardzo widoczne od spodu. Gdy udało mi się upchnąć ich ciała w dziwnym objęciu na muszli klozetowej, zatrzasnąłem kabinę tak, by nie otworzyła się zbyt łatwo przy pierwszym lepszym pchnięciu. Chwyciłem odebrane im fanty i wyszedłem w poszukiwaniu jakiegokolwiek spokojniejszego miejsca.

W poczekalni oprócz ławek nie było nic, dlatego od razu skierowałem się na zewnątrz. Pociąg już dawno odjechał i do szczętnie opustoszała teraz stacja mogła być dla mnie całkiem dobrym miejscem na przeczekanie burzy, która była silniejsza

z każdą mijającą minutą. Błyskawice oslepiły swoim rozmachem, a grzmoty następujące krótko po nich wierciły dziury w mojej skacowanej głowie.

Ach, ten pieprzony kac! Muszę się go pozbyć!

Właściwie to mógłbym tu zostać do rana, gdyby nie trupy, które przed momentem poupychałem w kabinie. Na szczęście stacja nie była wyposażona w kamery monitoringu, alarmy czy systemy wykrywania broni. W innym wypadku już miałbym lokalną policję na głowie. Szybki rzut oka na zalaną rześnym deszczem okolicę. Czysto, można ruszać dalej, z tym, że sam nie wiedziałem, dokąd chciałbym pójść. Ulicą w lewo? Nie byłem przekonany co do tego kierunku. Widziałem tamten fragment miasta przez okno pociągu i nie czekało mnie tam nic, poza zrujnowanymi budynkami mieszkalnymi i niedziałającymi, jak przypuszczałem, fabrykami. Za następny punkt wycieczki obrałem przeciwny kierunek i zacząłem iść ulicą w dół, a schodząc z peronu, postawiłem kołnierz płaszcza, by choć trochę ochronić się przed silnym wiatrem i spadającymi na moją głowę oraz kark kroplami deszczu. Po przejściu pięciuset metrów wyszedłem zza rogu budynku i dostrzegłem neonową czerwień jakiegoś niewielkiego, zapuszczonego lokalu. Kontrastował z szarym tłem ponuro wyglądającego osiedla potężnych bloków. Molochem, który odstraszał już samym ogromem i wyglądem. Nie wiedziałem, co to za miejsce, ani jak się tu znalazłem. Ale zanim mogłem odpowiedzieć sobie na te pytania, musiałem wygrać najpierw walkę z dręczącym mnie bólem głowy.

Wewnątrz było podobnie ponuro jak na dworze, ale przynajmniej ciepło i sucho. Słabe, żarówkowe oświetlenie, obdrapane, małe stoliki pokryte staromodnymi ceratami, podłoga wyłożona dużymi, pociemniałymi od chodzenia kafelkami, które kiedyś, jakieś trzydzieści lat temu, były białe.

Obite neonowymi jarzeniówkami okna rzucały ostry, czerwony blask na tę część ulicy. Kilku siedzących na sali klientów wyglądało na robotników lokalnych fabryk. Zmierzyli mnie złowrogo, gdy wchodziłem przez drzwi frontowe. Nie wyglądałem jak oni. Nawet ich nie przypominałem. Po sekundzie wrócili do swoich zajęć. Minąłem bar umiejscowiony pośrodku lokalu i znalazłem najbardziej zacienione miejsce. Opadłem na skórzaną, wysłużoną kanapę i wyciągnąłem z kieszeni płaszczka fanty zabrane na pasternikom ze stacji kolejowej. W portfelu znalazłem pieniądze w ogólnej walucie Sojuszu Ziemskiego, która honorowana była wszędzie, bez jakiegokolwiek wyjątku. Znalazłem tam jeszcze lekko wysunięte ze swojego miejsca potwierdzenie tożsamości w postaci karty. Facet nazywał się Flowers. Był detektywem i zgodnie z logo, jakie widniało na przodzie karty, należał do policji Tritown. Na dokumencie jego towarzyszką z mechanicznym ramieniem było wydrukowane imię Creese, a w rogu karty znalazłem to samo oznaczenie. Nie było najmniejszych wątpliwości, że były to podróbki.

Usłyszałem nad swoją głową głos. To stojący z dzbankiem kawy barman mówił coś w niezrozumiałym języku. Instynktownie odpowiedziałem mu obojętnym ruchem ramion.

– Pan nietutejszy? – zapytał w końcu w ziemskim języku, z wyraźnym, wschodnim akcentem. – Coś podać?

– Coś na... – Potarłem oczy i ułożyłem splecione dłonie na karku.

– Ciężka noc, prawda? – przerwał mi. – Mam coś w swoim menu specjalnie na takie ciężkie noce. Zaraz coś wykombinuję. – Barman zaczął się odwracać.

– Proszę zostawić. – Chwyciłem za szklany dzbanek pełen czarnej kawy.

Mężczyzna rozluźnił chwyt i oddał mi naczynie. Odszedł. Ja za to nie omieszkałem zaczerpnąć kilka łyków wprost

z dzbanka. Smakowała paskudnie, dokładnie tak samo jak ta serwowana z potężnych kontenerów na linii frontu, a po raz ostatni miałem okazję pić taką kawę podczas walk o Evercity.

Po kilku minutach stanęła przede mną całkiem spora misa zupy. Barman doniósł także sztucce oraz kubek na kawę. Aromat ostrych przypraw, którymi doprawiony był ciemny płyn, unosił się wraz z gorącą parą. Ślinka pociekła mi na sam zapach. Zanim chwyciłem za łyżkę, dałem barmanowi banknot o nominale stu dolarów. Wytrzeszczył oczy.

– Proszę zatrzymać resztę. Mogę prosić o przysługę?
– powiedziałem.

– Co mógłbym dla pana zrobić? – zapytał, wkładając zgięty banknot do kieszeni białego fartucha na piersi.

– Co to za miejsce? Chodzi mi o miasto. – Chwyciłem dzbanek i nalałem sobie kawy do pełna. Barman uważnie obserwował moje ruchy.

– Fabijoniškės II. Największe osiedle w aglomeracji wileńskiej.

Aglomeracja wileńska? Wilno. Ziemia. Co, do kurwy, robię na Ziemi? Jak się tu znalazłem? I dlaczego ludzie podający się za detektywów pracujących dla policji w Tritown na Limei ścigają mnie kilka lat świetlnych od ich terenu działania?

Co się stało?

Pamiętam, że ostatni raz byłem... no właśnie, gdzie? Wytężyłem ostatnie szare komórki i przypomniałem sobie o Robbie Drevinskim. Staliśmy pod daszkiem na zewnątrz jakiegoś lokalu, ale nie mogłem potwierdzić, gdzie to było konkretnie ani kiedy, ani co tam robiłem.

Spojrzałem ponownie na barmana.

– Jeszcze jedno. Proszę zadbać, by nikt mi nie przeszkadzał.

Wyłożyłem na ladę kolejny studolarowy papierek i przesuwałem go w jego stronę. Chwycił i włożył tam, gdzie schował

poprzedni. Z zadowoleniem na twarzy wrócił do swoich obowiązków. Ja postanowiłem przegnać moje złe samopoczucie raz na zawsze.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1. JESZCZE NA TAMTYM ŚWIECIE	4
ROZDZIAŁ 2. NIEODBEZPIECZONA	11
ROZDZIAŁ 3. NIE. PANIKUJ.	21
ROZDZIAŁ 4. JAK TO: NIC NIE PAMIĘTASZ?	30
ROZDZIAŁ 5. POŚLANIEC JEDEN	37
ROZDZIAŁ 6. ALBO NAS ZABIĆ	49
ROZDZIAŁ 7. MÓW ALBO GIŃ	70
ROZDZIAŁ 8. I WOJNA	86
ROZDZIAŁ 9. CO MOŻE PÓJŚĆ NIE TAK?	95
ROZDZIAŁ 10. SŁUCHAJ, CO MÓWI	103
ROZDZIAŁ 11. NACISNĄŁEM SPUST I NIE ZDEJMOWAŁEM Z NIEGO PALCA	117
ROZDZIAŁ 12. PRZEŁAMANIE UMYSŁOWE	140
ROZDZIAŁ 13. ZBAWICIEL	158
ROZDZIAŁ 14. MYŚLISZ, ŻE WJEDZIE ZA TO JAKAŚ PREMIA?	179
ROZDZIAŁ 15. PODAJ MI WKRĘTAK!	203
ROZDZIAŁ 16. SZEF OCHRONY	213
ROZDZIAŁ 17. ZA ZGODĄ	227
ROZDZIAŁ 18. I SHARKY, KTÓRY ODROBIŁ PRACĘ DOMOWĄ	244
ROZDZIAŁ 19. NIGDY	254
ROZDZIAŁ 20. JUTRO O TEJ PORZE	265
ROZDZIAŁ 21. TO BYŁ MÓJ ŚWIAT	276
ROZDZIAŁ 22. NIE DOTYKAJ DZIEWCZYNKI!	290
ROZDZIAŁ 23. WYRWAĆ NAS STĄD W JEDNYM KAWAŁKU	308
ROZDZIAŁ 24. OKAZJA DO WYKORZYSTANIA	325
ROZDZIAŁ 25. DYLEMAT MORALNY	336
ROZDZIAŁ 26. OSIEMNAŚCIE LAT	357
ROZDZIAŁ 27. NIC	361
ROZDZIAŁ 28. NIESPODZIANKA	367
ROZDZIAŁ 29. NIE ZAMIERZAŁEM WRACAĆ	375
ROZDZIAŁ 30. WRAK POŚŁAŃCA	387
ROZDZIAŁ 31. SIEDEMNAŚCIE MINUT	405
ROZDZIAŁ 32. DO UŻYTKU CYWILNEGO	422
ROZDZIAŁ 33. NIE. TO DLA MNIE BYŁ ZASZCZYT	437
ROZDZIAŁ 34. ZOSTAŁ TYLKO CEL	444
ROZDZIAŁ 35. ŚWIADOMIE	453
Podziękowania, pozdrowienia i kilka zdań od autora	462